



Bronisław Młodziejowski

część I z IV

Sygnatura notacji: **N0862**
Data urodzenia: **28.05.1948 r.**
Data nagrania: **24.04.2014 r.**
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**
Czas nagrania: **część I: 76 min, część II: 49 min, część III: 62 min,**
Format nagrania: **video** **część IV: 74min**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bronisław Młodziejowski: Urodziłem się 28 maja 1948 roku w Poznaniu. Mój ojciec Jerzy, geograf, filozof, muzyk, kompozytor, człowiek renesansu, mama Ewa. Było w nas domu czterech chłopaków, ja jestem drugi z kolei. Mieszkałem wówczas z rodzicami w Poznaniu, tam studiowałem na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, tam zrobiłem później doktorat, habilitację. Studiowałem na kierunku biologia człowieka, antropologia, a tak się złożyło, że na studiach poznałem moją jedyną i aktualną żonę, z którą jestem nadal. I okazało się, że żona jest warszawianką i koniecznie chce wrócić do Warszawy. I tak to w roku 1971 wylądowałem w Warszawie jako świeżo upieczony absolwent uniwersytetu i podjąłem pracę, która mnie niezwykle interesowała już w czasie studiów. – Pełni pan bardzo wiele funkcji, zarówno na polu naukowym, jest pan generałem Wojska Polskiego, generałem Brygady. W jaki sposób się do pana zwracać? Proszę powiedzieć, czy panie profesorze, czy panie generale? – Nie, ja myślę, że te wszystkie dodatki są w sumie mało istotne, bo można mieć sporo tytułów, stopni, skądinąd znacznych, a być człowiekiem małej miary. Ja się najlepiej czuję ze swoim imieniem i nazwiskiem. Jestem przyzwyczajony rozmawiać: „proszę pana, proszę pani” i to wyczerpuje formułę, choć z zazdrością patrzę na Anglików, którzy mówią sobie po imieniu, i może kiedyś też do tego dojdziemy, choć z Polakami będzie trudno. – Chyba tak, rzeczywiście. Wspomniał pan o swoim wykształceniu. Proszę powiedzieć, czy... Czasami bywa tak, że naszym losem rządzi przypadek. Jak to było w pana sytuacji? – Tak, rzeczywiście w moim przypadku też tak było. Proszę sobie wyobrazić, że moja rodzina ze strony mamy to rodzina profesorów uniwersytetu, jeszcze z Wilna, jeszcze ze Lwowa, wylądowali w Poznaniu, i sobie rodzina umyśliła, co bym był w przyszłości następcą siostry mego dziadka, profesora Edwarda Szechtla, specjalisty w zakresie ichtiologii i łowiectwa, i mam studiować na Akademii Rolniczej. No więc jak ja to usłyszałem, to zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby nie dać najmniejszej szansy moim ciciom i dalszym krewnym w sytuacji dostania się

na uczelnię do tejże Akademii Rolniczej, do której dzisiaj zresztą czuję duży sentyment z innego powodu. Oblałem, krótko mówiąc, wszystkie egzaminy, zrobiłem to złośliwie. Przez kolejny rok pracowałem fizycznie w lesie, będąc pomocnikiem inżyniera leśnika przy sporządzaniu map terenowych, i wiedziałem już, co to znaczy chodzenie z teodolitem, z łąką pomiarową, z kłupą, która służy do pomiaru średnicy drewna i wyliczania zasobności drewna, uaktualniania map. Krótko mówiąc, nauczyłem się szacunku do pracy. I wtedy postanowiłem, że będę starał się na studia medyczne. Mój ojciec zadzwonił do swojego kolegi, profesora Witolda Michałkiewicza, kierownika Katedry Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej w Poznaniu, i poszedłem tam zobaczyć, jak wygląda medycyna. I proszę sobie wyobrazić sytuację młodego człowieka, ja zdawałem maturę, mając jeszcze szesnaście lat, dopiero w tydzień po zdaniu matury skończyłem siedemnaście, bo poszedłem wcześniej do szkoły, i taki młody człowiek ląduje na bloku operacyjnym, w dodatku na ginekologii. Wyszedłem stamtąd zielony i stwierdziłem, że medycyna nie dla mnie. Ale jednak ten niespokojny duch wewnątrz spowodował, że poszedłem na studia, w których cały program dotyczy człowieka, i zdrowego, i chorego, i że tak naprawdę porwała mnie możliwość funkcjonowania w procesie identyfikowania szczątków, odtwarzania ich wyglądu, wszystkiego, co było związane z człowiekiem, poza jego chorobą. No i wylądowałem w obszarze medycyny sądowej i kryminalistyki. I okazuje się, że im bardziej szczątki są poddane niekorzystnemu działaniu czynników zewnętrznych, termicznych, chemicznych, upływowi czasu, tym bardziej potrzebne są moje kwalifikacje, stąd od prawie czterdziestu lat jestem konsultantem Warszawskiego Zakładu Medycyny Sądowej, niezależnie od tego, że kieruję Katedrą Kryminalistyki i Medycyny Sądowej na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Bo tam po zakończeniu swojej pracy zawodowej w służbach mundurowych, właśnie w wojskach nadwiślańskich, wygrałem konkurs na profesora na powstającym uniwersytecie i pracuję tam nadal. – Chciałbym teraz już nawiązać do tych, tak jak mnie się wydaje, elementów, które łączą pana ze sprawą katyńską. Mianowicie znalazłem na liście katyńskiej Bronisława Młodziejowskiego, podporucznika rezerwy. Wiem, że to jest ktoś z pana rodziny. – Kim on był? – Tak, to jest stryj. Czyli brat mego ojca. Ojciec niewiele mówił na temat wojny, raczej stronił od tych tematów. Miał urazy, powiem zaraz, jakie, bo to też w pewnym sensie rzutuje. Otóż mój ojciec, Jerzy, i jego brat Bronisław wychowywali się na Wołyniu. Tam rodzina Młodziejowskich miała jakieś dobra, które były wykorzystywane nie tylko do bycia, wegetowania, ale służyły przede wszystkim jako ostoja polskiej kultury przez naprawdę duże K, ponieważ pradziadkowie zapraszali tam wybitne osoby teatru, literatury, filmu. Między innymi bywał na dworze Kornel Makuszyński, który, jak mi ojciec mówił, recytował swoje wspamiętane teksty książeczek, które ilustrował Walentynowicz, o myszce Fiki Miki i o Koziołku Matołku. I jak ja później już, pamiętam, na gwiazdkę otrzymywałem w kolejnych latach poszczególne książeczki Kornela Makuszyńskiego o koziołku Matołku, nie mogłem się nadziwić, że mój ojciec to słyszał na własne uszy. Obaj panowie, Jerzy i Bronisław, mieli wyjątkowe zdolności artystyczne. Wynikało to również z tego, że ich matka, nomen omen Bronisława z Wojciechowskich Młodziejowska, była aktorką teatralną, grała, stąd wiele osób kultury, bywając tam na tym dworze, zaszczerpiło w młodych ludziach chęć zajęcia się profesjonalnego muzyką. Bronisław Młodziejowski był kierownikiem artystycznym Opery Poznańskiej, pod koniec lat 30. objął to stanowisko, był bardzo obiecującym również pianistą. W związku ze zbliżającą się wojną doszło do mobilizacji i obaj bracia, mój ojciec i stryj, dostali różne przydziały mobilizacyjne. Ojciec wylądował w składzie etatowym Armii Poznań i poszedł na odsiecz Warszawie z bitwą nad Bzurą. Natomiast stryj dostał przydział do Armii Kielce, która ewakuowała się w kierunku na Lwów. Efekt jednej i drugiej drogi jest taki, że ojciec dostaje się do niewoli w Warszawie po kapitulacji Warszawy i pięć i pół roku spędza w obozie Woldenberg II C, przeżywa oczywiście. Natomiast Bronisław dostaje się do niewoli sowieckiej, zostaje

wywieziony do Starobielska i zostaje zamordowany w Charkowie, i tam gdzieś spoczywa. Jego szczątków nie udało się nigdy zidentyfikować. Dorastając, widziałem, co robiła moja babcia. Babcia nieustannie korespondowała z Czerwonym Krzyżem, ze Szwajcarią, nawet Czerwonym Półksiężycem. Poszukiwała wszędzie, gdzie tylko można było, śladów po Bronisławie Młodziejowskim. Babcia mi opowiadała, kim był, jaki był zdolny, że należy mu się pamiętać. I ojciec skądś uzyskał informację, że Bronisław prawdopodobnie nie żyje, to było w roku 1948, jeszcze przed moim przyjściem na świat, i postanowili z moją mamą, że dostanę imię na pamiątkę tamtego Bronka. No i tak to się stało, że Bronisław Młodziejowski mówiący te słowa w roku 1991, czyli pięćdziesiąt jeden lat po śmierci swego stryja, poszukiwał go w trakcie prac ekshumacyjnych. Rzeczą ciekawą jest również to, że jak wiemy, osadzeni w Starobielsku, w Kozielsku, a także w Ostaszkowie polscy żołnierze, policjanci, funkcjonariusze innych służb jednorazowo dostali zgodę na korespondencję z rodzinami. Mój stryj, Bronisław, wysłał depeszę ze Starobielska o bardzo lapidarnej treści: „Czuję się dobrze, jestem zdrowy, pozdrawiam wszystkich. Bronisław Młodziejowski”. Wysłał tę depeszę na adres kontaktowy, który rodzina sobie ustaliła, bo wojna się zaczęła, tym adresem był krakowski Stary Rynek, ponieważ ciotka miała tam tak zwaną czytelnię, dzisiaj już czytelnia prywatnych w Polsce nie ma, a kiedyś takowe były. Proszę sobie wyobrazić, że ja wyposażony w ten tekst, kserokopię tej depeszy, w czasie jednej z niedziel przy pracach ekshumacyjnych w 1991 roku miałem możliwość podjechać wraz z prokuratorem Stefanem Śnieżką i pozostałymi kolegami do Starobielska, tam powędrowałem na pocztę i wysłałem depeszę tej samej treści na adres mojej mamy w Poznaniu. Więc tak, rzeczywiście wzrastałem w atmosferze niepokoju i rozpaczliwych poszukiwań. Nigdy nie przypuszczałem, że moje studia, moje zainteresowania staną się niezwykle użyteczne w tego typu pracach, tym bardziej że po zakończeniu tych studiów specjalizowałem się dalej w antropologii sądowej, uzyskałem uprawnienia biegłego sądowego i w momencie, kiedy dochodziło do kompletowania ekipy, odpowiednie władze uznały, że moje kwalifikacje są jak najbardziej użyteczne w przyszłych pracach, i zostałem nieformalnym kierownikiem całego zespołu biegłych różnych specjalności, i medyków sądowych, i falerystyków, i historyków, dokumentalistów, fotografików i tak dalej. – Dobrze. Do tego za chwilę jeszcze wrócimy. Chciałbym jeszcze dopytać o pana stryja, to znaczy szczególnie o okres PRL-u, jak wyglądała kwestia... czy rodzina w jakiś sposób była z racji jego... – Nie, nie mieliśmy żadnej informacji. – Tak, ja wiem, ale czy mieliście jakieś problemy? Bo była to niewygodna prawda. Czy można było mówić otwarcie? – Nie, myśmy otwarcie na ten temat nie mówili i ojciec nas uprzedzał, żebyśmy raczej nie rozmawiali z nikim na ten temat. Mój ojciec jako wtedy dyrygent, kompozytor dyktował w orkiestrze, Wielkopolskiej Orkiestrze Symfonicznej, był człowiekiem bezpartyjnym i czyniono mu wiele różnych wstrętów, aż do usunięcia z tego stanowiska, co też pamiętam, bo przeżył to niezwykle dramatycznie. Natomiast nie odczuwaliśmy bezpośrednio jakiejś represji, być może dlatego, żeśmy zachowali wszyscy, cała gromadka braci, pewną dyskrecję, o którą prosił ojciec. – A w szkole zetknął się pan oficjalnie, można powiedzieć, jak na tamte czasy, z prawdą... – Nie. Nie miałem na ten temat żadnej, choćby pięciominutowej, uwagi poświęconej przez panią, która uczyła historii, czy panią polonistkę. Ten temat w ogóle nie był poruszany w czasie mojej edukacji, zarówno w szkole podstawowej, jak i w szkole licealnej. – Proszę powiedzieć, czy pamięta pan, co otworzyło drogę ku ekshumacji? Bo oficjalnie ekshumację prowadziła strona rosyjska, strona radziecka. – Pierwszym sygnałem był komunikat agencji TASS. Jeśli pamiętam, było to chyba z 13 maja [kwietnia] 1990 roku. I wtedy ówczesny minister spraw zagranicznych, Gruzin Eduard Szewardnadze, ogłosił poprzez TASS informację, że odpowiedzialnymi za zbrodnię katyńską są Rosjanie, i wspomniał rozkaz podpisany przez Stalina i kilku jego najbliższych współpracowników, datowany na 5 marca 1940 roku. Przygotowania strony polskiej rozpoczęły się natychmiast. Ja pamiętam, że przyjechała grupka chyba dwóch czy trzech proku-

ratorów rosyjskich do Warszawy w 1990 roku, tutaj maj, komunikat, natychmiast strona polska przystępuje do działań, ale w 1990 roku okazało się, że Rosjanie są nieprzygotowani, żeby nas przyjąć, w związku z czym kończyło się to tylko na rozmowach, na ustaleniach, na przedstawieniach koncepcji, wypracowaniu składu, wyposażenia potrzebnego, czasokresu i tak dalej. Pamiętam, że w 1990 roku byliśmy w siedzibie Archidiecezji Warszawskiej i zupełnie świeżo upieczony biskup Jarecki spotkał się wtedy z ekipą i powiedział, że się będą modlić z księdzem prymasem, kardynałem Józefem, o to, żebyśmy mogli tam pojechać i, jak to powiedział, „wydrzeć prawdę ziemi, ile się tylko da”. No niestety się nie udało. Tyle tylko, że ten czas wykorzystywała strona polska i jak potem żeśmy to udowodnili, również strona rosyjska, żeby pewne rzeczy przygotować. Proszę sobie wyobrazić, że przyjeżdżamy do Charkowa, jedziemy do Piatichatek, miejscowość podcharkowska i tam jest wygradzony teren, na którym są bardzo liczne groby masowe, ale nie tylko Polaków. Wygradzono z dużego obszaru teren, na którym, jak się później okazało, znalazły się wszystkie groby. Przyjeżdżamy do Miednoje. Świeżo postawiony płot, pomalowany, wycineczek maleńki olbrzymiego terenu, bo to były tereny NKWD, a później KGB dla tak zwanych czynowników w nagrodę i tam przyjeżdżali na picie wódki i łowienie ryb, i wygradzony teren. Od razu żeśmy zinterpretowali sprawę jednoznacznie. Przygotowali się w ciągu tego niespełna roku na nasz przyjazd, odnajdując w archiwach wszystkie szczegółowo zapisane dane, których nam zresztą poskąpili, i do dzisiejszego dnia, młodzież takiego sformułowania używa, które jest dość dosadne, że rżną głupa, że to zostało w 1959 roku na polecenie Chruszczowa spalone. To nieprawda. Oni każdy grób, przynajmniej w Miednoje, każdy dół z mobiliami oznakowali w swoisty sposób. Mianowicie wbijali w miejsce, gdzie znajdował się grób masowy, rurę stalową ocynkowaną o średnicy 1 cala, rurę, która została wyprodukowana w 1985 roku, co potem stwierdzili w swoich opiniach Amerykanie, których żeśmy poprosili o ocenę czasu powstania tego wyrobu, natomiast w każdy dół z mobiliami był wbity kątownik stalowy 50 na 50 milimetrów. Były one wbite tak, że nie było ich widać na powierzchni. Dopiero później, jak ja robiłem badania sondażowe i zabrałem ze sobą wykrywacz metali, mogłem je lokalizować i miałem bardzo ułatwione zadanie, żeby precyzyjnie wskazywać miejsce wrzucenia, bo to nie był pochówek, wrzucenia pomordowanych w wielu, wielu warstwach do tych grobów. Więc przygotowania z polskiej strony to dokładne zapoznanie się z tym wszystkim, co posiadamy w dokumentacji, przygotowanie wyposażenia, doszkolenie i zgranie ludzi, którzy mieli pracować, no i wreszcie przygotowanie do wyjazdu. Ruszyliśmy nomen omen 22 lipca 1991 roku autobusem, który został przygotowany przez wojsko, przez Ministerstwo Obrony Narodowej. No i nie obyło się już pierwszego dnia od incydentu, który zapachniał skandalem, w którym dziennikarze, których żeśmy zabrali do autokaru, nie wykazali się najbardziej górnolotnymi pomysłami, a rzecz dotyczyła incydentu, który miał miejsce na granicy Polski i ówczesnego Związku Radzieckiego. Mianowicie zauważyliśmy, że po stronie rosyjskiej stoją dwa samochody osobowe i stoją wojskowi w mundurach, jak nam potem powiedziano, generałowie. I oni postanowili zabrać całą ekipę w geście powitania do nieodległej jednostki wojskowej i tam, proszę sobie wyobrazić, na takim stawiku z niezbyt, powiedzmy, czystą wodą, znajdowała się wyspa zrobiona z drewnianych bali, i na tę wyspę nas przyprowadzili, i tam nas częstowali pomidorami, ogórkami, a przede wszystkim w manierkach mieli spirytus. To miało być takie gościnne powitanie polskiej ekipy. Rzeczywiście czterech kolegów prokuratorów, którzy nie wykazali odpowiedniej czujności, upiło się. Ja byłem już zaprawiony w takich bojach, ponieważ z natury rzeczy jestem człowiekiem niepijącym, można powiedzieć, jestem abstynentem, w związku z czym jak mi nalewali do szklanki spirytus, to ja wykorzystywałem chwilę nieuwagi i spirytus za siebie i do stawu. Podobnie postąpili inni koledzy, a niektórzy, którzy skupili na sobie zainteresowanie tych gościnnych generałów, ponieśli z tego tytułu poważne konsekwencje. Myśmy dojechali wreszcie do Charkowa, zakwaterowano nas w hotelu, którego nie było w żad-

nym spisie hoteli w Charkowie, okazało się, że to był hotel jakiś partyjny, no i w tym partyjnym hotelu żeśmy zamieszkali, i codziennie rano zawożono nas autobusem na miejsce. Pierwsze dwa dni Rosjanie w Charkowie usiłowali nas wodzić za nos. – Jak to wyglądało? To znaczy, czym się przejawiały te... – Pełna gotowość, tu są nasi biegli, dwóch medyków sądowych przedstawili, tutaj jest pułkownik taki, tu pułkownik taki, tu będziemy robili, w tym miejscu robimy i w tym miejscu robimy. Więc przystąpiliśmy do badań i okazało się pierwszego dnia i w połowie dnia drugiego, że my odstawiamy groby masowe nie polskie, tylko sowieckie. I zrobiliśmy krótką naradę, pan prokurator Stefan Śnieżko, pan profesor Andrzej Nadolski, archeolog, nieżyjący już niestety, i ja ustaliliśmy, że kończymy tę miłą współpracę według warunków, które przedstawili Rosjanie. Poszedłem z profesorem Nadolskim na ten teren zdiagnozować sytuację i wskazać miejsca, które naszym zdaniem, nie mając żadnej dokumentacji, nie mając żadnych podstaw, tylko dokonując oceny ukształtowania terenu, rosnącego drzewostanu, wskazaliśmy trzy miejsca prokuratorowi Śnieżce, które naszym zdaniem mogą być tymi miejscami, o które nam chodzi. No i drugiego dnia pod koniec Stefan Śnieżko powiedział, że dalej już nie będziemy robili z Rosjanami, my przejmujemy inicjatywę, Śnieżko oświadczył panu generałowi Frołowowi... To taki pan, co w marynarskim mundurze chodził, Frołow, był podobno pułkownikiem prawa. To jest taki twór, który ciągle budzi moje zdumienie, jak można być pułkownikiem prawa, ale u nich to, okazuje się, jest. Pułkownikiem prawa ze stopniem generała. Z Naczelnej Prokuratury Wojskowej Ministerstwa Obrony Rosji. On jakoś sposepniał, podobno zalał się w trupa tego dnia, bo go nie było trzeciego dnia, kiedyśmy rozpoczęli pracę według naszych warunków. I proszę sobie wyobrazić, że wskazane trzy czy cztery miejsca przez profesora Nadolskiego i przeze mnie zaowocowały pierwszymi ekshumacjami, bo to było stanowisko numer 5 i stanowisko numer 22. Ja pracowałem na stanowisku numer 22, dwaj medycy sądowi, profesor Roman Mądro i doktor Erazm Baran, pracowali na stanowisku numer 5. Były ekipy podzielone z dokumentalistami i pozostałymi kolegami o innych specjalnościach. Potrzebowaliśmy pół godziny czasu, żeby natrafić na szczątki z mobiliami ewidentnie polskimi. Rozpoczęła się ekshumacja pod dyktando Polaków. Pracowaliśmy tam trzy tygodnie. – A proszę powiedzieć, jak tak naprawdę dokładnie to przebiegało? To znaczy, od czego to się zaczęło? Wyznaczyliście te trzy miejsca, a następnie... – Rozpoczęliśmy wykopy sondażowe. Po wyznaczeniu punktów, które z punktu widzenia geologicznego, a także związanego z szatą roślinną, rokowały nadzieję, że tam mogą znajdować się znacznych rozmiarów groby masowe, rozpoczęliśmy punktowe sondáže w postaci wkopów ręcznie wykonywanych łopatami. I rzeczywiście po pół godziny pracy na jednym i drugim stanowisku natrafiliśmy na szczątki w resztkach mundurów i z wyposażeniem polskim. Te szczątki były całkowicie zeszkieletowane, tkanek miękkich już nie było. W tej sytuacji rozpoczęliśmy wyznaczanie granic poszczególnych grobów, tak żeby można było je odstawiać całą płaszczyzną, i zgodnie ze sztuką, którą wypracowali archeologowie, Zdejmowaliśmy po centymetrze warstwę ziemi, nadkład odkładając odpowiednio daleko, i odstawialiśmy płaszczyznowo grób, wyznaczając jego dokładny zarys. Następnie zastosowaliśmy metodę katafalku. Polega ona na tym, że poza brzeżnymi granicami zewnętrznymi grobu pogłębia się grunt tak, żeby można było przynajmniej stanąć tam do kolan, zespół badaczy, żeby wypiętrzyć w ten sposób całą zawartość grobu. Taka sytuacja daje najlepsze efekty w dokumentowaniu ułożenia poszczególnych warstw, odtworzenie mechanizmu składania, czytając: wrzucania ich do grobu w sposób absolutnie bezładny z burty samochodu, no i także z rekonstrukcją przyczyny śmierci wielu osób, bo jak się okazało, inaczej niż to było w Katyniu, co stwierdzili Niemcy, nie wspominam Burdenki, bo to jeden wielki skandal, ale również późniejsze prace Polaków. W Katyniu strzelano do przywiezionych tam polskich żołnierzy bezpośrednio przy dołach, które były wykopane. W Charkowie, generalnie rzecz biorąc, pozbawiano życia przywożonych sukcesywnie ze Starobielska więźniów w siedzibie NKWD w Charkowie i wywożono zwłó-

ki do Piatichatek. Ale znaleźliśmy bezpośrednie dowody mówiące o tym, że również strzelano do ludzi nad wykopem, czyli był to grup o mieszanym charakterze ze zwłokami, ale także z dowożonymi osobami. W grobie numer 22, na którym ja pracowałem, znalazłem szczątki dwóch kobiet, co było niezwykłym znaleziskiem, ponieważ z danych historycznych wiedzieliśmy, że tam znajdują się również kobiety, między innymi, ja już nie pamiętam nazwiska, ale była pani major, lotnik, która została pozbawiona życia właśnie nad wrzuconymi już do jamy grobowej zastrzelonymi mężczyznami. – Czy można z całą pewnością powiedzieć, że to były Polki? Czy coś wskazywało... – Tak, szczątki... Panie redaktorze, prawda jest taka, my nie jesteśmy w stanie, antropolodzy, identyfikować ludzi tylko i wyłącznie na podstawie badań morfologicznych i anatomicznych, czy przynależą do narodowości polskiej czy jakiegokolwiek innej. Tym bardziej, co budzi zdziwienie u niektórych zlecniodawców, nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy są wyznawcami takiej czy innej religii. Narzędzia, którymi dysponujemy dzisiaj, są o wiele doskonalsze niż te, którymiśmy dysponowali na początku lat 90. Nie mieliśmy badań genetycznych, które dają pewne możliwości, ale nie rozstrzygają. To jest tylko możliwość. Dla nas wyznacznikiem, czy są to groby polskie czy nie, było wyposażenie, były mobilia. Mundury, wyposażenie służbowe, odznaki, odznaczenia, order, wyposażenie osobiste, w tym także wycinane misternie drewniane pudełeczka na tytoń z inskrypcjami i z zapisem datowym. Wszystko to dało nam podstawę do wnioskowania o pochodzeniu. Tak było we wszystkich ekshumacjach. Dopiero później była szansa identyfikowania poszczególnych osób metodami genetycznymi. – To, co możemy dzisiaj obserwować w takim projekcie, który jest... – Poszukiwania, które prowadzi Instytut Pamięci Narodowej, między innymi na Łączce, na Powązkach, to jest już zupełnie inna bajka. – Dobrze, no ale to... To może jeszcze Charków i 1991 rok, tutaj te pierwsze... Ja spotkałem się w literaturze z informacją, że Rosjanie początkowo powołali radiestetę, przywieźli ze sobą radiestetę, który... – Tak. Radiesteta tam był, ale to były takie sztuczki, które miały za zadanie wpuścić nas w ślepią uliczkę. Nie chcieliśmy się na to zgodzić. Widzieliśmy, że efekty są żadne. Ekipa przyjechała w końcu nie ekshumować szczątki, skądinąd także pomordowanych, ludzi z terenu ówczesnego Związku Sowieckiego. Myśmy chcieli znaleźć i dokumentować naszych. – Wspomniał pan, że w pewnym momencie całe prace przejęła strona polska. – Tak. – A jak układała się... Bo tutaj jednak współpraca z Rosjanami musiała jakoś się układać, ona musiała być... – Rosjanie zobaczyli, że mają do czynienia z zawodowcami. Oni nigdy takiej pracy nie przeprowadzali w przeszłości. Nigdy. Jak oni zobaczyli, jak my pracujemy, jak mamy pracę zorganizowaną i co my umiemy, nie trzeba było rozmawiać. Oni po prostu prowadzili czynność procesowo, myśmy byli do pomocy i role się dokładnie odwróciły o 180 stopni. Oni patrzyli, coraz szersze mieli oczy, do tego stopnia, że nas prosili, żeby im użyczyć albo wypożyczyć, albo najlepiej podarować, wiertła geologiczne do punktowego oceniania zawartości, co jest pod ziemią. Oni się uczyli. Rosjanie, trzeba to powiedzieć uczciwie, i ci dwaj medycy sądowi, gromadka prokuratorów z Trytieckim na czele, Rodziewiczem. Rodziewicz oczywiście gałęzie, pochodzenie polskie, właśnie z Marią Rodziewiczówną jest spokrewniony, oni szybko przeszli na naszą stronę. Nie wiem jak to się stało. Olbrzymią rolę tu odegrał nasz „Wielki szaman”, tak żeśmy o nim mówili, ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski. On tych Rosjan tak zafascynował, że proszę sobie wyobrazić, prokurator, pułkownik Aleksandr Trietiecki, już w Miednoje w kazamaty dawnej siedziby NKWD na ulicy Sowieckiej, przystąpił do komunii świętej, wzbudzając w nas co najmniej zdziwienie. Jak to? Niewierzący, komunista, a ksiądz prałat daje mu komunię świętą? Ksiądz prałat go wcześniej ochrzcił, na jego własną prośbę, on go przygotował do komunii, nic nam nie powiedział przez te dni, w któreśmy razem pracowali, dopiero tam się to stało na naszych oczach. To było coś zdumiewającego. – Nastąpiło takie przeobrażenie, tak? – Zupełne. Trietiecki zresztą zdawał sobie sprawę z tego, że przyjdzie mu ponieść poważne konsekwencje tego, co zrobił, że zaczął współpracować tak otwarcie i tak życzliwie, i tak

uczciwie z nami, z Polakami. Jego po tych pracach ekshumacyjnych wysłano na wojnę. Afganistan, a potem Tadżykistan. Pracował tam jako prokurator, ale założeniem było, że go po prostu odstrzelą. Rosjanie nie wiedzieli, co robią, bo Trietiecki przeżył trzy lata wojny i z żołdem, który mu wypłacili za trzy lata, wracał pociągiem do Moskwy, i w pociągu został pobity i totalnie okradziony ze wszystkiego, przez nieznaną sprawców. Nieżyjący już konsul polski, Michał Żórawski, udzielił mu pierwszej pomocy finansowej, kiedy wrócił bez grosza na życie do domu. Ja się z Trietieckim widziałem w lutym 2010 roku, kiedy tam pojechałem z dwoma kolegami profesorami na sesję naukową organizowaną w Twerze, przez Memoriał po części, a po części przez placówkę Polskiej Akademii Nauk, rezydującą w stolicy Rosji, w Moskwie. Trietiecki nic się nie zmienił, on tylko posiwiął, ale na publicznych wystąpieniach właściwie Trietiecki występował jak przedstawiciel strony Polski. Nigdy się nie uląkł prawdy, nigdy nie zaparł się tego, co robił. Uważał, że on jako prokurator jest zobowiązany do pracowania przede wszystkim w zgodzie z prawdą, a nie z zamówieniem zewnętrznym. – Wspominał pan o organizacji prac, że w skład ekipy wchodziło bardzo wielu specjalistów z różnych dziedzin. – Tak. – Proszę powiedzieć, jak wyglądała organizacja w Charkowie? W którym momencie wchodził pan jako osoba, która... W którym momencie pan przystępuje do czynności? W którym momencie to następowało? Jaka była dalsza organizacja prac i przebieg prac? – Trzeba powiedzieć tak, że spośród kilkunastu osób biorących udział w tej pierwszej ekshumacji w Charkowie, tylko trójka z nas miała doświadczenia wcześniejsze z ekshumowania grobów masowych. Ja miałem największe doświadczenie, większe niż Roman Mądro i Erazm Baran, więc krótko mówiąc, stałem się niejako liderem w wyznaczaniu miejsc i w sposobie organizacji pracy. Myśmy się uczyli tej pracy, bo każdy z kolegów miał swoją olbrzymią wiedzę i doświadczenie w swoim obszarze, ale nigdy nie był w życiu na ekshumacji, choćby pojedynczego człowieka. Proszę sobie wyobrazić, jakie oni przeżywali psychiczne dołki, kiedy nagle przyszło im pracować ze zwłokami ludzkimi. To, że zeszkieletowe, to dobrze, że na początek. Nie mogli sobie dać rady. Myśmy musieli pracować nad nimi, żeby im powiedzieć, że wykonują pracę niezwykle ważną i pełnią funkcję jakby ambasadorów rodzin, które w Polsce niecierpliwie czekają na choćby ohtap jakiegokolwiek wiadomości, każda z rodzin, o swoim bliskim. I że my nie możemy sobie pozwolić na emocje, my nie możemy sobie pochlipać. My musimy pokazać, że jesteśmy twardzi, zorganizowani, przyjechaliśmy tu osiągnąć swój cel. Różnie to wyglądało. Ale o tym opowiem troszeczkę później. Dostroili się wszyscy do wysokiego poziomu, tak jakby ta ekipa pracowała ze sobą już przynajmniej w kilkunastu czy w kilkudziesięciu sprawach. Tworzyliśmy stanowiska wydzielone dla medyków sądowych, dla falerystów, dla dokumentalistów. Wszystkie ujawniane szczątki natychmiast były badane przez medyków sądowych. Sporządzana była dokumentacja, także dokumentacja fotograficzna. Wszystko to, cośmy znaleźli przy szczątkach, natychmiast było segregowane na listy, depozyt wartościowy, bo takowy udało się zachować, wielu pomordowanym, mimo że Rosjanie ich bardzo dokładnie przeszukiwali, na to też mieliśmy stuprocentowe dowody, ale nie przeszukali wszystkich i nie wszystkie rzeczy ukryte były przez Rosjan znalezione. To były osobiste, bardzo osobiste, rzeczy, takie jak obrączki z wygrawerowanym imieniem małżonki i datą zawarcia związku małżeńskiego, to były zegarki parokrotnie złote z dedykacją otrzymaną na zakończenie edukacji, na przykład wojskowej albo jakiejś innej, to były imiennie dedykowane odznaczenia związane z osiągnięciem sprawności strzeleckiej, fizycznej, więc krótko mówiąc, tam rekonstruowaliśmy nie tylko zażyciową sylwetkę konkretnego człowieka, ale jego dokonania, które pozwalały potem z dużym prawdopodobieństwem mówić, kim on był, gdzie on służył, w jakiej jednostce był, gdzie był zmobilizowany i tak dalej. Ta dokumentacja została przez nas wytworzona i znajduje się w zasobach Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, a przynajmniej taki jest stan mojej wiedzy, czy rzeczywiście nadal, czy już Instytut Pamięci Narodowej przejął, tego nie jestem w stanie powiedzieć, ale były w Radzie Ochrony

Pamięci Walk i Męczeństwa. – Proszę powiedzieć po pierwsze, co skłoniło, tak jak pan wspominał, zajmował się pan dołem śmierci numer 22. Pierwsze prace w 1991 roku miały charakter bardzo sondażowy. Udało się dotrzeć do tych... – To były typowe ekshumacje śledcze. One nie były sondażowe. One były realizowane w toku zarządzanego przez Sowietów śledztwa, w którym strona polska uzyskała status pomocy prawnej. Jak powiedziałem, w rzeczywistości to myśmy prowadzili tę czynność, a Rosjanie w niej uczestniczyli. Pierwszą jaskółką, że trafiliśmy, była rogatywka z orłem polskim w koronie. Na samym wierzchu tego grobu masowego numer 22. – Po odsłonięciu tego dołu, co pan zobaczył? – Nieopisany bałagan anatomiczny. Zwłoki stojące na głowie, wymieszane, sprasowane. Nie ulegało dla nas wątpliwości, że doły zostały przygotowane wcześniej, głębokie, były robione maszynowo. Znaleźliśmy dowody wykorzystania takiego czerpaka, który wyglądał troszkę jak gąsienica czołgu, i on pochylał się pod odpowiednim kątem i wybierał ziemię, wyrzucał ją na zewnątrz. Przywożono szczątki samochodami, z burty samochodu zrzucano je do tego dołu śmierci. Powstawały od dwudziestu nawet do dwudziestu pięciu warstw zwłok powrzuconych, następnie narzucono nadkład ziemi, ubijano, ubijano i półtora metra ziemi w postaci nadkładu. A potem następowały nasadzenia różnego rodzaju drzew, żeby to wszystko zamaskować. Proszę pamiętać, że w Piąchatkach teren był własnością NKWD, który ustanowiono po ukryciu zwłok terenem rekreacyjnym, a to była taka rekreacja, żeśmy znaleźli jeszcze na drzewach rozpięte druty kolczaste z 1940 roku. To samo było zresztą w Miednoje. – Ile było ciał? Można było to stwierdzić z całą pewnością, ile ciał... – Proszę pana, ja w tej chwili nie pamiętam. Dokumentacja jest, to było kilkadziesiąt osób. – Czy to był jeden transport, czy to były więcej, dwa transporty? – Nie, to w ogóle nie był cały transport. Transport był rozładowywany w większej ilości do innych dołów. Natomiast ten numer, 22, myśmy go tak oznaczyli, bo on wynikał z chronologii podejmowanych przez nas prac i rowów sondażowych, wkopów punktowych, już po rozpoczęciu ekshumacji 25 lipca 1991 roku. Pozostałe szczątki były sukcesywnie ekshumowane w latach 1994, 1995, 1996 przez ekipę, którą kierował profesor Andrzej Kola z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. – Proszę powiedzieć, na czym polegała pana praca? Czym się pan dokładnie zajmował? – Ja fizycznie pracowałem jako eksplorator, czyli krótko mówiąc, każde szczątki odsłaniałem szpachelką, pędzelkiem, zarządzałem przeprowadzenie dokumentacji fotograficznej, sporządzałem szkice. Każdą kość brałem do ręki i oceniałem ją z punktu widzenia anatomicznego, morfologicznego, dymorfizmu płciowego, oceny wieku, badałem każdą czaszkę, także na okoliczność istnienia otworów wlotowych i ewentualnie wylotowych, będących wynikiem stosowania broni palnej no i po kompleksowym i szczegółowym opracowaniu pojedynczych zwłok były one przenoszone na wyznaczony teren, i następne zwłoki, i następne, i następne. Tak że wyglądało to w ten sposób. Do pomocy miałem żołnierzy rosyjskich z jednostek, jak się okazało, pancernych no i ci młodzi chłopcy oczywiście też pracowali pierwszy raz w życiu. Proszę sobie wyobrazić nasze zdumienie, ubrali ich, a mamy koniec lipca, w gumowe płaszcze, nieprzepuszczające powietrza, ponieważ wmówili im, że w miejscu, gdzie ekshumujemy, znajdują się pochówki bydła, które zachorowało na syberyjską jzwę. Zaczęliśmy grzebać w pamięci, co to jest ta syberyjska jzwa, co to jest za straszak, co Sowieci znowu wymyślili. Pryszczycza. Proszę pamiętać, że pryszczycza, na którą chorowało bydło, które padało, znamy przypadki, że utrzymywała się aktywność bardzo zjadliwych drobnoustrojów sto lat od pochowania. Stanowiło to rzeczywiście zagrożenie dla życia człowieka. Ale, panie redaktorze, można straszyć, jak ktoś kiedyś powiedział, starą babę kozuchem. Może się wystraszy, może nie. Ale w końcu pojechali tam profesjonaliści, którzy niefatwo są skłonni uwierzyć w różnego rodzaju wersje. Dla nas było rzeczą nieprawdopodobną, żeby ktokolwiek nawet pomyślał o umieszczeniu szczątków zwierząt razem ze zwłokami pomordowanych. Jeśli to robili, to na pewno nie w tym miejscu, a to chodziło również, jak żeśmy potem to ocenili, bo tę samą zagrywkę zrobili w Miednoje, wynikało z próby

maksymalnego utrudnienia naszych prac albo ich opóźnienia. Ci żołnierze w tych płaszczach gumowych mdleli. Dlaczego? Bo nie byli w stanie oddychać skórą, a oddychanie skórą jest tutaj niezwykle ważne. Myśmy ich szybko rozebrali, ubraliśmy ich w ubrania, któreśmy przywieźli ze sobą, drelichowe, no i pracowali bardzo pomocnie. Ja jako jedyny chyba zastosowałem metodę marchewki. Mianowicie obwieściłem moim żołnierzom, że za każdy znaleziony wyrób, odznaczenie, order, złoty zegarek czy obrączkę daję, proszę się nie śmiać, jednego dolara. Jeden dolar wówczas, w 1991 roku na Ukrainie, to była sztanga papierosów. Nic nie ukradli. Wszystko, co zostało znalezione... Bo nie można było upilnować każdego. Mógł zasłonić swoim ciałem i potencjalnie mógł coś ukraść. Oni chcieli dostać tego dolara, bo kupowali sobie papierosy. Prokurator Śnieżko śmiał się, ale mówi: „No, dobrą ma pan metodę. Gdzie pan się jej nauczył?”. Ja mówię: „A, robiłem ekshumację pod Lwowem, robiłem ekshumację w Brześciu, wiedziałem, jak reagują”. Dwie są metody na ruskich: alkohol i zapłata w dolarach. Działało bardzo skutecznie i bardzo dobrze.

– Proszę powiedzieć, co udało się ustalić, kiedy pan badał szkielety polskich w 1991 roku? Jakie były ustalenia? Może pan pamięta jakieś sytuacje, które były nietypowe? – Tak, myśmy przygotowani byli na to, że będziemy identyfikować rodzaj broni, rodzaj amunicji związanej z otworami wlotowymi, wylotowymi na czaszce, bo przecież przekaz był jednoznaczny, że strzelano w głowę, w tył głowy. – To z Katynia, tak. – No i byliśmy zaskoczeni, bo nie do końca tak było. Sowietci w międzyczasie wypracowali lepszą metodę uśmiercania człowieka. Nie strzelali mu w głowę. Strzelali mu w przestrzeń pod czaszką, w kręgi szczytowy i obrotowy. Wewnątrz, w kanale kręgowym, przechodzi rdzeń kręgowy. Przy postrzałach w czaszkę zdarzało im się, że musieli dostrzeliwać swoją ofiarę drugi, trzeci, czwarty, a nawet piąty raz, pięć otworów wlotowych znajdujemy w pojedynczej czaszce, gdy tymczasem można strzelić w kark i śmierć jest absolutnie pewna. W związku z powyższym bardzo dokładnie analizowaliśmy uszkodzenia kręgów szyjnych, szczytowego, obrotowego i trzeciego kręgu szyjnego. Tam znajdowaliśmy ewidentne dowody na uszkodzenia mechaniczne spowodowane wnikającym pociskiem. Druga kwestia to nieprawdopodobna wręcz precyzja strzelania. Większość broni użytej w Charkowie to były pistolety typu nagant, produkcji sowieckiej. Ale już w Miednoje nie było ani jednego obrażenia, ani jednej łuski, ani jednego pocisku od naganta. Wszystko to było produkcji niemieckiej. Tylko, że chichoł historii jest następujący. Niemcy nigdy nie przekroczyli rzeki Twierc. A tam niejaki Błochin z Moskwy przywiózł walizkę pistoletu walter, niemiecką amunicję, bo już wtedy Sowietci mieli przygotowaną wersję, że Polaków zamordowali Niemcy. I o ile w Katyniu i w Charkowie ten przemarsz Niemców i Sowietów miał miejsce parokrotnie, o tyle w Miednoje teren ten nigdy nie znalazł się nawet na 5 minut pod jurysdykcją niemiecką. Był cały czas w rękach rosyjskich. Więc tu była kwestia nie tylko ustalenia mechanizmu zgonu każdego z zamordowanych, ale także odtworzenia okoliczności, które towarzyszyły. Typ broni, rodzaj amunicji, sposób wrzucania do dołów, ubijania tej ziemi, maskowania. Wszystko to stanowiło rekonstrukcję, którą dzisiaj nazywamy rekonstrukcją kryminalistyczną. Ona dawała nam podstawy do wyprowadzenia bardzo wielu istotnych wniosków. Wszystko to oczywiście zawarliśmy w niezwykle obszernej i bogatej dokumentacji, to wszystko w zbiorach polskich się znajduje. Także wszystkie zabezpieczone przedmioty, i te osobiste, i te służbowe, zostały złożone w filii Muzeum Wojska Polskiego, w Muzeum Katyńskim. One tam są dostępne. – Czy pan pamięta, czy udało się w Charkowie, mówię jeszcze o tym pierwszym etapie prac ekshumacyjnych, dokonać identyfikacji konkretnej osoby na podstawie przedmiotów? – Nie. Z punktu widzenia kryminalistycznego i sądowo-lekarskiego to nie jest identyfikacja osoby. Myśmy wielokrotnie, także tam, ale generalnie w praktyce zawodowej mieli okazję się przekonać, że nawet jeśli przy danej osobie w odzieży znajduje się dokument tożsamości albo wizytówka, wcale to nie świadczy o tym, że jest to ta osoba. W Miednoje na przykład więźniowie, żeby zabić czas, z wizytówek jednego z osadzonych zrobili sobie talię kart. No i te wizyt-

tówki pana Adamczyka, który był ojcem pani Krzysztofiak, która bardzo działa w sprawie jako jedna z poszkodowanych, był tylko i wyłącznie dawcą wizytówek, a były one znajdowane przy różnych zwłokach. Więc nie udało nam się zidentyfikować żadnej osoby. – Zdaje się, że o podobnej sytuacji wspominał ksiądz Peszkowski w swoich wspomnieniach, kiedy to podano jego nazwisko jako osoba, która została zamordowana, zamiast... – No tak, bo on znajdował się w obozie. – Tak, ale przekazał koc jednemu ze swoich kolegów, który był pisany. Więc rzeczywiście tutaj... – Więc przywiązywanie wagi i wyprowadzanie wniosków na podstawie odzieży, wyposażenia do identyfikacji osoby jest jeszcze bardzo daleka droga. – Wspomniany przeze mnie ksiądz Peszkowski, zresztą przez pana również, towarzyszył cały czas pracom ekshumacyjnym. – Tak, ksiądz prałat przyjechał trzeciego dnia po rozpoczęciu ekshumacji w Charkowie. On po prostu musiał do nas dolecieć ze Stanów Zjednoczonych. Jak on to zrobił, że zorganizował sobie dojazd, to pozostaje jego tajemnicą. On miał takie przełożenia i takie wejścia, że Polacy byli zdumieni, Rosjanie byli zdumieni, a ksiądz prałat uśmiechał się tylko bardzo dobrotnie, jak to miał w zwyczaju czynić, pogłaskał po głowie i mówił: „Przyjacielu, nie przejmuj się drobiazgami”. Był z nami cały czas. Każdy szczątek przez nas wyjęty był przez niego... Trudno znaleźć słowo właściwe. Myśmy mówili, że on „głaszcze” te czaszki, ale on z nimi rozmawiał. On modlił się, on te szczątki błogosławił. Potem oczywiście po złożeniu szczątków do grobu odprawił całą liturgię pochówku rzymskokatolickiego. Myśmy każdego dnia mieli Anioł Pański w południe, myśmy mieli mszę po zakończeniu pracy. Dawało nam to niepowtarzalną szansę poczucia, że bierzemy udział w jakiejś misji, w której teraz oto nadszedł czas, żeby się zastanowić nad tym, co było naszym udziałem w dniu dzisiejszym, co żeśmy zrobili, czy zrobiliśmy wszystko w porządku, co musimy zrobić następnego dnia. Człowiek się zastanawiał nad sobą, modląc się. Byli w ekipie, tak jak wspominałem, tej mieszanej, choć zachowaliśmy odrębność, ludzie zupełnie niewierzący. Ale ci Rosjanie brali udział w Mszy świętej. Oni nawet nie wiedzieli, co tu się właściwie odprawia. Proszę pamiętać, to jest początek lat 90. To jeszcze jest CCCP. Tam prawosławie zostało prawie całkowicie wykarczowane, tylko starzy ludzie pamiętali liturgię. A tu liturgia katolików ich dosłownie zwała z nóg. Też ich wyciszyła. Jak żeśmy im powiedzieli, że istnieje taka maksyma łacińska „memento mori”, pamiętaj, że jesteś śmiertelny, to dotarło do nich, że oni też. I że mogą zrobić coś przyzwoitego. Tam kształtowały się postawy prokuratora Jabłokowa, też bardzo uczciwego i rzetelnego człowieka. Gościł potem w Polsce parokrotnie. O Triecieckim wspominałem. Rodziewicz chyba Sowietci załatwili. Miał się z nami spotkać, pojechaliśmy tam z ekipą desygnowaną przez prezydenta, na czele ekipy stał doktor Andrzej Zakrzewski, minister z kancelarii prezydenta, był Stefan Śnieżko, był Jędrzek Tucholski, byłem ja, trzy osoby z rodzin katyńskich. Myśmy robili kwerendę po najwyższych urządach Rosji w celu uzyskania dostępu do dokumentów katyńskich, do teczek osobowych, teczek operacyjnych. Do tych żeśmy nigdy nie dotarli, podobno zostały spalone. Ale ta kwerenda, to jest taka moja odskocznia od spraw, o których rozmawiamy, ale ona znajduje podłoże właśnie w tym wszystkim, spowodowała, że jeden z Rosjan, o nazwisku Piotr Romanow, mający żonę Polkę, pracujący u wiceprezydenta Rosji, Ruckiego, prezydentem był Jelcyn, uzyskał informację, że w archiwum prezydenckim na tej konkretnej półce, znajduje się dokument z 5 marca 1940 roku, podpisany przez Sowietów. I proszę sobie wyobrazić, jak on to ustalił, wkrótce potem Jelcyn podjął decyzję, że wysłał Rudolfa Pichoję, naczelnego archiwistę rosyjskiego, z kopią uwierzytelnioną tego dokumentu do prezydenta Wałęsy. Dostałem tę informację od księdza Peszkowskiego. Zapytałem księdza prałata, kto o tym wie. „No ja i ty”. Ja mówię: „Ale, księżo prałacie, to za mało” – „No ale komu mówić, jak Pichoja jutro rano przylatuje do Warszawy?” – „To proszę księdza, żeby ksiądz nikomu więcej na ten temat słowa nie wspominał, a ja już zorganizuję wszystko pozostałe”. Zadzwońtem do ministra Andrzeja Milczanowskiego, w siedzibie na Zawrat mieszkał minister Milczanowski, oficer BOR-u nie bardzo chciał

mnie połączyć, choć minister mnie znał, była godzina 21:00 z minutami, ja mówię: „Niech pan na moją odpowiedź mówi ministrowi, że muszę z nim rozmawiać przez telefon”. Milczanowskiego aż zatkało. – „Czy ja jestem pewien, że jutro przylatuje Pichoja?” – „Tak, jestem absolutnie pewien. Przylatuje samolotem rejsowym”. „Bardzo panu dziękuję. Proszę spodziewać się dalszej reakcji”. Rano o godzinie 7:00 zadzwonił do mnie kapciowy, czyli pan minister Wachowski, i powiedział: „Proszę pana, zapraszam pana do saloniku VIP-owskiego na przylot samolotu, bo będziemy chcieli odłączyć pana Rudolfa Pichoję od wychodzących pasażerów. Chcemy go przejąć poza salonikiem VIP-owskim, a pan będzie na wabia trzymał całą grupę dziennikarzy i ambasadora Kaszlewa, mówiąc, że są jakieś techniczne sprawy, że za chwilę pan Rudolf Pichoja przyjdzie. A my w tym czasie przewieziemy pana Rudolfa Pichoję do portu wojskowego, w samochód i od razu do Belwederu, do Wałęsy”. Ja byłem tego świadkiem. Opowiadałem o ekshumacjach, o takich innych sprawach, z czym to może przyjechać Rudolf Pichoja, Kaszlew, cały czas telefonu. No i raptem się wydało, że Pichoja nie wejdzie do saloniku VIP-owskiego, bo już jest w drodze do prezydenta. Ja widziałem, jak szpetnie zaklął Kaszlew, wskoczył do tego Mercedesa 500 z kierowcą i kazał mu na sygnale... nie wiem, skąd miał lampę niebieską, ścigał się, kto pierwszy dojedzie do Wałęsy. Kaszlew chciał przejąć Rudolfa Pichoję z dokumentami, żeby nie dopuścić do przekazania Wałęsie, a Wałęsa miał już pewne układy z Jelcynem, jak go tutaj troszeczkę nasi znieczulili, jak był i obiecał. Pierwszy dotarł Rudzkoj z Wachowskim do prezydenta Wałęsy i się okazało, jakie dokumenty, nie w oryginale, ale kopie, zostały przywiezione. To są takie okoliczności wielu różnych spraw, które miały miejsce, o których wiele osób w ogóle nie wie, że coś takiego miało miejsce. Drugim takim niezwykle taktycznym elementem była informacja, którą uzyskał konsul Michał Żórawski od pewnego Rosjanina. Ten Rosjanin przysłał mu list, napisał, że jest mieszkańcem Tweru, że trudni się poszukiwaniem „wajennowo baracha”, czyli jakiejś tam broni, wyposażenia będącego wynikiem wojny, i że on znalazł poza stanowiskiem w Miednoje inne miejsce, gdzie znajduje się wyposażenie Polaków. Michał Żórawski mi ten list błyskawicznie pocztą dyplomatyczną przysłał do kraju, ponieważ wiedział, że ja jadę na sondaż do Miednoje i będę kierował ekipą. Zwróciłem się do komendanta głównego policji, pana Smolarka, o użyczenie autobusu do przewiezienia ekipy i samochodu osobowego. Pan Smolarek powiedział, żebym sobie kupił duży gumowy młotek i wybił, niczego mi nie da. No to w takich sytuacjach, jak się ma do czynienia z człowiekiem, który nie rozumie, co będzie udziałem ekipy, w której pracują policjanci, funkcjonariusze straży granicznej i innych służb, zadzwoniłem do ministra Milczanowskiego i za 10 minut dzwonił zastępca Smolarka, że mam wszystko przygotowane. Ja im nie mogłem powiedzieć, co ja będę robił, dlaczego potrzebuję własnych środków transportu, a nie rosyjskich. Bałem się, że to zostanie ujawnione i nie będę mu zrealizować tego elementu. Wprowadziłem taką organizację pracy, że pracowaliśmy od poniedziałku do soboty, a niedziela była dniem świętym. Polacy w niedzielę nie pracują. Zakazuje im tego religia. Nawet tak ważnej pracy, jaką była praca sondażowa w poszukiwaniu grobów. Tak uspiłem Rosjan, że zdjęli nam ochronę, bo nas ciągle podglądali, podśluchiwali i za nami łazili, ja zresztą, jak robiłem każdego dnia odprawę służbową, tośmy szli do lasu, a nie w pokojach, bo w pokojach były mikrofony, o czym żeśmy się przekonali. Uspiłem ich czujność i w niedzielę podjechałem autobusem pod miejsce zamieszkania tego Rosjanina, który wsiał do autobusu razem z kolegą i koleżanką, skasowali po sto dolarów od razu z góry. Bo oni chcieli zarobić. Nie mieli żadnych sentymentów. Zawiózł nas do miejscowości Zawołuszki, to jest mniej więcej w połowie drogi między Twerem a Miednoje, wjechaliśmy na teren dawnego poligonu czołgowego i raketowego, który rok wcześniej został udostępniony ludności, bo go zlikwidowano, i zaprowadził nas do wielkiego dołu poczołgowego, w którym znalazłem olbrzymią ilość wyposażenia polskich policjantów, w tym znaki ewidencyjne Policji Państwowej, które dają możliwość identyfikacji każdego policjanta z imienia i nazwi-

ska, a także z okręgu. Znalazłem mnóstwo wyposażenia służbowego, kubków, menażek, manierek. Każdy z tych sprzętów był przedziurawiony stalowym szpikulcem o kwadratowym przekroju, żeby pozbawić ten sprzęt cech użyteczności, no bo kto weźmie kubek dziurawy, miskę albo menażkę? Nikt. I ustaliłem na podstawie drzew, które wyrosły na wjeździe i na wyjeździe z dołu czołgowego, że rosną drzewa, których datowanie pozwalało mi powiedzieć, że tamte szczątki wrzucono do tego dołu i obsypano burty, żeby nakryć, mniej więcej w roku 1962. Czyli, proszę popatrzeć, 1940 rok jest wywózka z Ostaszkowa, transporty idą przez zamrożone jezioro Seliger do linii kolejowej, przyjeżdżają do Tweru, wiozą ich do siedziby NKWD, sprawdzają personalia, jest ich w każdym transporcie od 200 do 250, i po kolei ich biorą na ten „krasnij ugałok”, sprawdzają personalia, prowadzą do pomieszczenia egzekucyjnego, które jest wytlumione kocami, tam stoją mordercy w skórzanych płaszczach, w pilotkach na głowie, w goglach na oczach, w rękawicach, walter w głowę... Strzelano piętnastu-trzydziestu, różnie to było, wywlekano krwawiące zwłoki w ten sposób, że im płaszcze naciągano na głowę, żeby krew wsiąkała w płaszcz, wynoszono ich na podwórze, tam ładowano takie samochody Ził, Rosjanie je nazywali „ciornyj varon”, trzydziestu, czterdziestu, i taki konwój tych samochodów jechał boczną drogą do ośrodka NKWD w Miednoje, tam były już wykopane doły, 6 metrów średnicy, 6 metrów głębokości, i z burty zrzucano 220–250 zamordowanych osób. Ubijali ziemię i następne. Ja miałem okazję rozmawiać z Tokariewem, generałem NKWD, który kierował tą placówką w Twerze, kiedy tam przywożono Polaków. Ja rozmawiałem z panią, bardzo już starą, która jak dowiedziała się, że Polacy przyjechali na ulicę Sowiecką, do siedziby dawnego NKWD, to powiedziała, że ona była świadkiem tego. Pracowała jako telefonistka i widziała, jak zwożą Polaków, a potem odłączają zasilanie energetyczne budynku i włączają agregaty dieslowskie, prądotwórcze, po to, żeby zagłuszyć odgłos padających strzałów. To było w centrum miasta przecież. Tokariew twierdził, że on o niczym nie wiedział, że on nic temu nie jest winien, że wszystko zrobiła ekipa, która przyjechała z Moskwy. Paroosobowa. Ja miałem także możliwość rozmawiać wcześniej w Charkowie z generałem Syromiatnikowym, który z kolei odpowiadał w części za to, co się stało w Charkowie i w Piatichatkach. On jest zresztą na liście szczególnie wyróżnionych za zasługi. – Jakie były okoliczności tego spotkania z Tokariewem, jak i... – Odnaleźli ich prokuratorzy rosyjscy. Przede wszystkim Trietiecki... – Czyli to było podczas tego pierwszego w 1991 roku? – Tak jest. Oni zmarli w rok czy dwa później. Bo to byli ludzie już powyżej dziewięćdziesiątki. Oni ich znaleźli. – Czyli pan był świadkiem... – Byłem świadkiem, bo Stefan Śnieżko natychmiast, jak żeśmy przyjechali do Trietieckiego, jak on mu powiedział, że ma ustalone miejsce, gdzie on jest, natychmiast do niego jedziemy. Wziął Olka Załęskiego z kamerą i momentalnie to przesłuchanie, które realizował Rosjanin... Proszę pamiętać, że Śnieżko władał językiem rosyjskim fantastycznie. On przecież dopiero w 1959 roku, w ostatniej fali repatriacji, wrócił z rodziną do Polski. Tak że on doskonale wszystko rozumiał, wszystkie niuanse języka. To zresztą się przełożyło na pewną dziwną historię, która później się wydarzyła w tymże 1991 roku w Twerze. Mianowicie ja mieszkałem w pokoju z pułkownikiem Zdzisławem Sawickim, falerystą znakomitym, i nie mieliśmy radia ani żadnego kontaktu, proszę pamiętać, nie było telefonów komórkowych, i był taki kołchoźnik w pokoju hotelowym, i Zdzisław jak zwykle pobiegł uprawiać jogging, a ja słyszę w tym kołchoźniku, że jest „stan czerezzwyczajny”. Moja znajomość rosyjskiego wówczas była na tyle jakoś tam dobra według mojego mniemania, że zorientowałem się, że mamy stan nadzwyczajny, że jest pucz, że obalona jest władza, ja schodzę na śniadanie i mówię panu prokuratorowi Śnieżko: „Panie prokuratorze, słyszał pan co się dzieje?” – „A co się ma niby dziać?”. Ja mówię: „Stan nadzwyczajny. Władza przejęta, puczyści stoją na czele, będą jaja” – „Eee, tam słuchał pan jakiejś archiwalnej audycji. Pana znajomość rosyjskiego jest taka, że nie ma co dyskutować”. No i co się okazało? Zjedliśmy śniadanie, do pokoi, wyposażenie, schodzimy na dół, jak zwykle stoi ten sam

autobus z popękkanymi szybami, w trzyosobowej załodze, jedna osoba to kierowca, druga osoba to dowódca autobusu, a trzecia osoba, opiekujący się nami KGB-owiec. Nomen omen kapitan Kałasznikow. I ten Kałasznikow, my wchodzimy, a on mówi: „Nigdzie nie pojedziemy”. A Stefan mówi: „A niby dlaczego?” – „Bo jest stan nadzwyczajny”. No i Stefan na mnie patrzy. „A co mnie to obchodzi? – mówi Śnieżko. – Ja się nie wybieram do Moskwy na stan nadzwyczajny, jedziemy do Miednoje”. – „Nigdzie nie pojedziecie, mam rozkaz poinformować was, że ekshumacja zostaje przerwana, że nie jesteśmy w stanie wam zapewnić bezpieczeństwa, w Twerze są nastroje antycudzoziemskie, możemy was wyposażyć w broń krótką, damy wam paliwo i uciekajcie do Polski”. A Stefan mówi tak: „Słuchaj, Kałasznikow” – wszyscy siedzimy w autobusie i słyszymy, jak on rozmawia, po rosyjsku. – „Widzisz tutaj, co ja otrzymam? – Sztoje to takoje?”. A to rozkaz zastępcy szefa sztabu generalnego Związku Radzieckiego, który nakazuje w dniach takich i takich roku Pańskiego takiego i takiego przeprowadzić ekshumację z udziałem ekipy Polaków”. „Przeczytałeś?” – „No przeczytałem” – „To jak mi dostarczysz równorzędny dokument podpisany co najmniej przez nowego zastępcę szefa sztabu generalnego Związku Radzieckiego o odwołaniu ekshumacji, to wtedy się będę zastanawiał. A teraz natychmiast do przodu”. I ten facet przysiadł, wydał komendę i żeśmy pojechali. – Pucz Janajewa, tak? – Pucz Janajewa. Myśmy przeżyli Pucz Janajewa w takich okolicznościach. Przez trzy dni opiekujący się nami KGB-iści zostali wyalienowani z zespołu ruskich, prokuratorzy wojskowi powiedzieli, że nie chcą mieć z nimi nic do czynienia, ci się szwendali gdzieś nad rzeką i chlali wódkę, a myśmy dalej pracowali. No to wymyślili, że zabierają nam żołnierzy. Bo żołnierze stanowili załogi czołgów, dywizja kantymirowska, jakaś tam inna. Byli drobni, silni, sprawni. A myśmy powiedzieli, jak ich chcecie zabrać, to zabierajcie. A my będziemy dalej robili swoje, nam to nie przeszkadza, choć bardzo jesteśmy wdzięczni im za pomoc. Świętej pamięci Staszek Mikke, który wtedy był korespondentem dwóch ważnych rozgłośni, „Głosu Ameryki” i „Wolnej Europy”, on przekazywał informacje o przebiegu prac ekshumacyjnych. Dostał informację, że Pucz Janajewa trzeciego dnia skończył się niepowodzeniem. Krótko mówiąc, przetrzymaliśmy to wszystko. Trochę ironii sprawie nadaje fakt, że kiedy była kompletowana ekipa prokuratora Śnieżki, napisał do prokuratora właśnie Staszek Mikke prośbę, żeby go zabrał ze sobą na ekshumację, że będzie robił obsługę dziennikarską, prasową, korespondencyjną, i jego prośba została odrzucona. Zadzwonili do mnie dwaj moi koledzy, późniejsi ministrowie, Jan Widacki i Jerzy Konieczny, żebyśmy zrobili wszystko, co tylko można, żeby Staszka Mikke zabrać, bo przecież to jest były prokurator, adwokat, człowiek świetnie przygotowany, który może być nam naprawdę bardzo, bardzo pomocny. I ja wtedy, przyznam szczerze, zrobiłem coś, do czego byłem w ogóle nieuprawniony, bo sam byłem wybrany do ekipy nieformalnie, tak jak wspominałem, byłem tym szefem zespołu biegłych, ale gdzie mi tam do zastępcy prokuratora generalnego i pozostałych prokuratorów. Pojechałem do pana Stefana, przedstawiłem tę prośbę i powiedziałem, że to jest człowiek warty zaufania i wzięcia go ze sobą. I Staszek w ten sposób zaczął funkcjonować w ekipach ekshumacyjnych i w Charkowie, i w Miednoje, i w Katyniu. To był jedyny człowiek z prawniczym wykształceniem, z przygotowaniem zawodowym, który doskonale widział każde stanowisko i miał świetną orientację. To po to, czy może dlatego, później Andrzej Przewoźnik, też świętej pamięci, poprosił Staszka, żeby pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, bo miał znakomitą wiedzę z autopsji zdobytą, a nie tylko i wyłącznie z dokumentów.